



Lesław Tur

Polak w krainie d'Artagnana

Lesław Tur
„Polak w krainie d'Artagnana”

Copyright © by Lesław Tur, 2016
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o., 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: **Jacek Antoniewski**
Projekt okładki: **Robert Rumak**
Korekta: **Ryszard Krupiński**
Ilustracje na okładce: © **marivlada – Fotolia.com**
Na okładce: **Miś Maciuś z Gniewa**
Foto: **Agnieszka Piecuch Studio A**

ISBN: 978-83-7900-510-9

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

**Wszystkie postaci są wymyślone.
Zbieżność imion zupełnie przypadkowa.
Prawdziwymi bohaterami są jedynie Różnice.**

Spis treści

1. Trzydzieści zdjęć i dlaczego zacząłem pisać?	5
2. Widzę, że nie jesteś Francuzem	12
3. Chciałbym obciąć konia	18
4. Usta masz słodkie jak... popcorn	24
5. Cmentarz i ogórki kiszzone	30
6. Nauka języka na wojnie i na uniwersytecie	38
7. Jeden Bóg, jedna wiara, inne Kościoły?	44
8. Champignon de Paris	52
9. Kłótnia płci	57
10. Różnice w świętowaniu	63
11. Appendix vermiformis.	71
12. Tak	76
13. Pierre Doliński i konwalie	81
14. Mały z dużym cygarem	88
15. Napoleon Bonaparte	93
16. Szczęście to spełnianie marzeń.	98
17. Przytulanie zamiast wojen	103
18. On est champion	108
19. Nie jestem chrześniakiem „Króla”	112
20. Optymista, pesymista i mędrzec	118
21. Książki	122
22. Ostatni felieton	126

1. Trzydzieści zdjęć i dlaczego zacząłem pisać?

Kiedy jeden z dziesięciu najbogatszych Polaków, Kazimierz Dawidowski, wchodził do windy nikt nie musiał mi go przedstawiać. Z korytarza towarzyszyły mu uniżone skinięcia głów i urywane rozmowy przechodzących. Ludzie w tym gmachu to jego pracownicy, więc najlepiej nie za głośno wypowiadać się wobec prezesa. Nikt nie nazywał go inaczej jak „królem”, a to wszystko po to, by go odróżnić od prezesów spółek, których był właścicielem czy zwykłych szefów firm, które dla niego pracowały. No i oczywiście „król jest jeden”. Ja też pracowałem od niedawna w redakcji jego gazety. Winda sunęła cicho, pokonując kolejne piętra naszej pionowej podróży. (Pewnie człowiek najczęściej podróżuje poziomo hi hi. Z drugiej strony ostatnia podróż każdego człowieka jest pionowa – wtedy, gdy wpuszczają twoje szczątki do grobu, tu już bez hi hi). Nie miałem zamiaru zbyt natarczywie przyglądać się mojemu szefowi. Zresztą, jak to w windzie, staliśmy obok siebie, ramię w ramię, wpatrzeni w metalowe drzwi, co jakiś czas rzucając okiem na licznik wyświetlanego piętra. Miałem wrażenie, że winda chce się pochwalić szefowi, jaka jest dzielna, przydatna i pracowita, i z zapalem wyświetlała cyfry mijanego piętra. Mimo dyskrecji, jednak nie sposób było nie dostrzec, że mój szef, obok eleganckiej skórzanej torby trzyma w drugim ręku rzeźbioną w drewnie marionetkę Pinokia.

– Pinokio, całkiem dobry symbol dla naszego dziennika. „Jak donosi Pinokio...” – wymyślałem rozbawiony medialne komentarze, a moje oczy i uśmiech ewidentnie zdradziły moje myśli prezesowi.

- To dla Tomka - powiedział, patrząc nadal przed siebie. W tym momencie winda stanęła, drzwi się otworzyły i na dziesiątym piętrze dosiadła się do nas asystentka redaktora naczelnego. Karolina na widok samego właściciela koncernu zrobiła się czerwona, jak burak w blond peruce. Odruchowo poprawiła biust i stukając szpilekami wkroczyła w męską przestrzeń naszej windy. Byłem pewien, że nawet mnie nie zauważyła, a o Pinokiu nawet nie wspomnę. Pinokio po prostu za mało zarabiał, a ja miałem za małą władzę.

- To jest mój chrześniak - dodał prezes, bym wiedział, że przecież jego siwe włosy gwarantowały odchowane dzieci. Jasno więc posadził na drzewie genealogicznym owego Tomka. Wysiedliśmy z prezesem i Pinokiem na piętnastym piętrze, zostawiając długonogą blondynę w windzie, która miała ją zawieźć dwa piętra wyżej. Budynek, w którym znajdowała się nasza redakcja nie był największym biurowcem w Warszawie, ale na pewno najbardziej wpływowym.

Dzień mijał powoli i jak na sierpień przystało w medialnie ogórkowej atmosferze. Tym bardziej byłem zdziwiony, gdy pod koniec pracy Karolina, z tajemniczą miną wezwała mnie natychmiast do redaktora naczelnego. Uparła się, abym jej towarzyszył, bo ma mnie osobiście do szefa doprowadzić (właściwie asystować, bo przecież była asystentką, a przez długość korytarza nie tylko szefa asystentką, ale i moją). Kołysany atrybutami Karoliny, próbując iść w rytm stukotu jej szpilek nie bardzo mogłem się skupić nad przypomnieniem sobie co też mogłem „przeskrobać”, skoro tak pilnie zostałem wezwany przed oblicze redaktora naczelnego.

- No proszę, siadaj! - naczelny wyszedł mi naprzeciw zza swojego biurka i wskazał fotel. O ile dobrze pamiętam, ostatnio, jak z nim rozmawiałem to stałem i nawet nie zauważyłem, że po mojej stronie biurkowej twierdzy są jakieś darmowe miejsca do siedzenia.

- Co to jest? - zapytał szef, rzucając wydrukowane kartki papieru.

- Chyba mój artykuł.

- Co to ma być?

- No historia taka. Na ulicy wycieli kasztan. Właściciel starej kamienicy jest jednocześnie właścicielem działki, na której rośło drzewo. Chce tam postawić nowy pasaż handlowy. Dostał pozwolenie od władz, by drzewo wyciąć. Gdy kasztan wycięto, mieszkańcy dzielnicy zaprotestowali przeciwko tej ekologicznej dewastacji. Postawili na pniu drzewa znicze i zrobili z gałązek krzyż. Jednak nikt z nich nie pamiętał, że gdy dwa miesiące wcześniej w tej opuszczonej kamienicy, przy której rósł kasztan znaleziono ciało bezdomnego, wtedy nie postawiono żadnego znicza i nikt nie zaprotestował przeciw krzywdzie, jaką jest bieda.

- Ale to nas nie obchodzi. Trzeba napisać tylko o kasztanie. Jak to władza miasta niszczy przyrodę, przekracza swoje kompetencje, a na dodatek nie liczy się ze sprzeciwem obywateli, którzy stawiają znicze.

- A człowiek?

- Nasza gazeta jest w opozycji do obecnej władzy, a nie w opozycji do tych, którzy stawiali znicze. Nie możemy ich zawstydząć, że są tacy nieludcy. A zresztą nie w tym rzecz. Szef zrobił przerwę, przyjrzał mi się uważniej, jakby chciał odgadnąć, czy już domyślam się o co mu chodzi. Nie wiedziałem – więc musiał kontynuować.

- No, no mogłeś coś powiedzieć, przecież pracujesz już dla nas sporo czasu – kontynuował naczelny, a z każdym jego kolejnym słowem i gestem moje zdziwienie rosło. Karolina bez pytania przyniosła dwie kawy i tak je postawiła, że nie było wątpliwości, iż jedna jest dla mnie. Naczelny sięgnął po kolorową teczkę z obcojęzycznymi nadrukami.

- 20 września, a więc za miesiąc jedziesz do Strasbourga na roczny kurs języka i dziennikarski staż w „DNA” – uśmiechnął się uśmiechem genetycznie modyfikowanym – czyli w tamtejszym dzienniku „Dernières Nouvelles d’Alsace”. Wszystkie

koszty pokrywa firma – mówiąc, wręczył mi teczkę i jednocześnie popił kawę.

– Żeby być szefem – myślałem – trzeba umieć robić kilka rzeczy na raz. Moje myśli nie nadążały za tym, co mówił, i gdy on już powracał ze stażu we Francji i stolicy Europy, ja nadal siedziałem w fotelu. Ani ja, ani moje myśli, ani moja wyobraźnia nigdzie się jeszcze nie wybierały.

– Redakcji przyda się osoba zorientowana w Parlamencie Europejskim i w Prawach Człowieka. Jedź! Obserwuj! Zawiązuj kontakty.

– Ale ja nie znam francuskiego – wybełkotałem, wchodząc naczelnemu między słowo i łyk kawy.

– No właśnie i ucz się francuskiego, po to tam jedziesz – palec wskazujący dźgał w moją stronę, jak podkreślający pisak.

– Ale dlaczego ja? – pytanie wydawało się bardzo logiczne, bo przecież wiedziałem, jak wielu młodych ludzi zatrudnia redakcja.

– Myślę, że pan prezes by sobie tego życzył – powiedział naczelnym głosem.

– Powodzenia i daj znać, jak ci tam – naczelnym rozmowę uznał za zakończoną, bo już prosił o połączenie telefoniczne.

Zgodnie z notatką w tezcze: jakie sprawy mam załatwić przed wyjazdem, co podpisać, jak często i z kim się kontaktować w redakcji podczas mojego służbowego wyjazdu, udałem się do Działu Międzynarodowego, w którym najmłodszy pracownik, Piotr, dwa lata temu powrócił ze studiów w Paryżu. Po roku pracy, kilku podróżach i kilku błyskotliwych artykułach, cytowanych przez inne media, liczył na posadę stałego korespondenta przy Unii Europejskiej, więc wiadomość o moim wyjeździe do Strasbourga nie przypadła mu do gustu.

– Co mam ze sobą zabrać? – zapytałem starszego kolegę po fachu, a właściwie starszego kolegę po studenckiej emigracji.

– Mamusię – odpowiedział, nie odrywając wzroku od komputera.

– Proszę Piotr, serio! Byłeś tam, to wiesz najlepiej – uznał pewnie moją prośbę za należny mu szacunek, bo raczył na mnie spojrzeć.

– Ja byłem w Paryżu – sprecyzował francuską mapę polityczną.

– Ale Strasbourg to przecież też Francja.

– Powiedz to Francuzom – zaśmiał się z dowcipu i rozejrzał czy może ktoś jeszcze doceni jego błyskotliwość. Niestety wszyscy byli zajęci własną karierą.

– Zabierz ze sobą bardzo dużo zdjęć legitymacyjnych. No wiesz takich do dokumentów.

– Zdjęć?

– Człowieku, polska biurokracja to nic w porównaniu z francuską. Oni używają rocznie taką ilość zdjęć, że w każdym gmachu publicznym: urzędy, biblioteki, dworce, centra handlowe są automaty do robienia zdjęć. Oczywiście każdy cudzoziemiec potrzebuje ich dwa razy tyle. Nie oglądałeś filmu „Amelia”? Nawet pod wieżą Eiffela mają takie fotograficzne budki. Wszyscy obcokrajowcy myślą, że to dla turystów, taka zdjęciowa atrakcja turystyczna, a to po prostu biurokratyczna codzienność Francuzów.

– Naprawdę? – trudno było mi w inny sposób skomentować to, co mówił.

– Ile mam zabrać... dziesięć?

– Co ty, człowieku! Weź zrób trzydzieści zdjęć, bo dla nas takie odbitki z automatu, płacone w euro są za drogie.

– Trzydzieści zdjęć?

– Trzydzieści i to tylko dlatego tak mało, że jedziesz na rok. Piotr wrócił do artykułu, który zapisywał w pamięci komputera.

– A... i jeszcze jedno. Zrób sobie wizytówki, bo już widzę, jak się im przedstawiasz: jestem Wojciech Szczygieł. Hi hi – śmiał się naprawdę serdecznie i muszę przyznać, że i mnie rozśmieszyła wizja szczygłowania po francusku.

Nie wiem dlaczego, ale uwierzyłem Piotrowi i następnego dnia zrobiłem sobie zdjęcie legitymacyjne.

- Ile odbitek - pytał fotograf - sześć, dziewięć czy dwa-naście?

- Poproszę trzydzieści odbitek.

- Ile?

- Trzydzieści.

- A pan co, autografy zamierza na ulicy rozdawać?

- Nie, do Francji jadę i to tylko na rok.

- Ale ja nawet nie wiem, jak za to policzyć - drapał się po głowie fotograf, stukając drugą ręką w klawisze kalkulatora. Powtarzał mnożenie, dodawanie i odejmowanie, by wreszcie dojść do kwoty, którą musiałem zapłacić. Zostawiłem go z jego zdziwieniem i odszedłem z kopertą trzydziestu zdjęć. Kiedy dwa miesiące później wysyłałem maila do Piotra, zacząłem go od zdania: „Piotr, miałeś rację! Dziękuję za zdjęcia!”.

Ta prawdziwa historia ze zdjęciami, pożeranymi przez francuską biurokrację jak bagietki, zainspirowała mnie do pisania. Może są inne różnice między Francją i Polską, których jeszcze nie zauważono? Anglik piszący o swoich zadziwieniach podczas rocznego pobytu w Paryżu już był (rok tutaj to zbieżność przypadkowa).¹ Był Francuz, który napisał o swoich spostrzeżeniach w kraju Solidarności.² Czas zatem na Polaka w krainie d'Artagnana. Zacząłem patrzeć, słuchać, pytać i notować. Wiedziałem, że rok to za krótko, ale z drugiej strony z zewnątrz zawsze dostrzega się różnice szybciej. Zdawałem sobie sprawę, że para oczu to za mało, ale przecież były to

1 Stephen Clarke, „Merde! Rok w Paryżu”, Wydawnictwo W.A.B., 2006 r. oraz tegoż autora „Merde! W rzeczy samej”, Wydawnictwo W.A.B., 2007 r.

2 Marc de Gascogne, „Gaskończyk w kraju Solidarności”, Oficyna Gdańska, 2014 r.

oczy dziennikarza, a nie niewidomego. Gdyby do tego dodać pikantny język i parę uszu i wysłuchać historii tych, którzy Francję znają lepiej niż stażysta? Bez wątpienia mogłyby z tego powstać ciekawe artykuły, a może i książka. Tak zacząłem pisać, a teraz zapraszam do lektury (mam nadzieję z uśmiechem).

2. Widzę, że nie jesteś Francuzem

Wydawałoby się, że pierwszą rzeczą, jaka stanowi problem dla cudzoziemca, który osiada we Francji jest język. Może ktoś pomyśleć, że najłatwiej cudzoziemca rozpoznać po akcencie i sposobie mówienia. Otóż niezupełnie. Są jeszcze trzy znaki rozpoznawcze, które zdradzają gości. Pierwszym to pocałunki na powitanie. Francuzi obojętnie podając dłoń zabierają się za policzkowe całowanie. Gdy po przyjeździe zapisałem się na kurs języka francuskiego na Uniwersytecie Nauk Humanistycznych w Strasbourgu można było przeżyć bez całowania. Zrozumiałe, nasza grupa składała się z wielu narodowości, z przewagą Azjatów, więc kłanialiśmy się tylko nieznacznie na dzień dobry. Gorzej było w redakcji alzackiego dziennika „Dernières Nouvelles d’Alsace”, gdzie zgłosiłem się, by odbyć staż, na który wysłał mnie mój redaktor naczelny.

Wprowadzał mnie Marc, szczupły trzydziestolatek, którego silny uścisk dłoni wyrażał życzenie „trzymaj się chłopie”. Ale kiedy obchodziliśmy wszystkie działy redakcji, a ja wciąż powtarzałem jedyne zdanie, które mi wychodziło:

– Bonjour, je m’appelle Wojciech. – Marc nie dawał za wygraną i szturchając mnie odpowiadał:

– No dalej, całuj! – Rozumiem, że to może być miłe, szczególnie wtedy, gdy poznałem Sophie, o czarnych krótko przystrzyżonych włosach, ciemnych oczach, talii osy i delikatnych, zadbanych dłoniach. Ale kiedy pół godziny później tak się rozpędziłem, że witając się z Jean Pierrem wycałowałem go po francusku, ku jego przerażeniu oczywiście, wiedziałem,

że pocałunki to wolę jednak rozdawać trochę inaczej, tak po naszemu i może nie ze wszystkimi.

To pewnie jakaś trauma z dzieciństwa, którą przeżywa każdy mały chłopiec, kiedy odwiedzają go ciotki w wieku różnym, koligacjach najróżniejszych, z okazji przeróżnych i najgorzej, prezentami różnorodnymi i mimo tych wielu różnorodności zawsze to prowadziło do jednego. Zawsze wówczas padało matczyne przypomnienie:

– Podziękuj cioci! – a zaraz za nim – daj buzi cioci! – Zawsze wtedy zasłaniałem usta ręką i z przerażeniem, na moich krótkich „pytkach”, zapakowanych w rajstopy, spowalniany ciężarem pampersa uciekałem pod stół. Właśnie stamtąd dobiegał mój niegrzeczny okrzyk:

– Nie! Nie! Nie!

Kiedyś, już jako dorosły, zastanawiałem się, czy ja tylko tak miałem. W rozmowie z dorosłymi mężczyznami większość przyznawała od razu, że nie cierpiała, jak trzeba było całować ciocię. Teraz wiedziałem, że nie mam wyjścia i będę musiał nadrobić wszystkie pocałunkowe ucieczki.

Krótko mówiąc, we Francji, jak nie całujesz, to jesteś uznany za obcokrajowca i to jeszcze na dodatek za sztywniaka.

Drugi wyróżnik turysty od autochtona to płacenie gotówką. Francuz, tutejszy, za wszystko płaci kartą bankową lub porte-monnaie électronique, czyli taką kartą, która nie jest przypisana do twojego bankowego konta, lecz jest ładowana na określoną kwotę, jak np. telefony na kartę. Wspominali moi koledzy, że nawet w budkach telefonicznych, bo kiedyś coś takiego proszę państwa istniało, Polacy wrzucali monety, a Francuzi, bez obawy o bankowe hackerstwo wkładali swoją kartę bankową. Sposób płacenia i zaufanie do uczciwości instytucji jeszcze bardziej mnie zadziwił, kiedy redakcja „Dernières Nouvelles d’Alsace” napisała artykuł o bezdomnym psie, który swoim szczekaniem obudził mieszkańców kamienicy i w ten sposób uratował ich od śmierci w pożarze. Pies stał

się bohaterem, którego każdy chciał przygarnąć, a mieszkańcy kamienicy zostali bezdomni, bo pożar strawił wszystko, co mógł. Wówczas nasi czytelnicy wysyłali w zwykłych kopertach czeki ze wsparciem na okaziciela.

– Czek z gotówką, do zrealizowania przez każdego, w dowolnym banku, wysłany w zwykłej kopercie, to się w polskiej głowie nie mieści.

Trzeci szybki sposób rozpoznania cudzoziemca w tłumie możliwy jest w restauracji. Wiedząc, że mam zaledwie rok, chciałem nie tylko, jak najdokładniej poznać francuską kuchnię, ale również jak najdokładniej poznać Sophie. Po dwóch tygodniach nauki języka, gdy nie tyle moje postępy były bardzo widoczne, co po prostu moi koledzy w pracy nauczyli się rozumieć Kalego, odważyłem się zaprosić ją na kolację. Wcześniej wiele razy jedliśmy wspólnie obiady, szukając w samo południe miejsca w jednej z pobliskich restauracji. Teraz jednak mieliśmy być sami. Bez limitu czasowego, wyznaczonego przez roboczą przerwę, otuleni zmierzchem piątkowego wieczoru i przeniesieni w historię, dzięki uliczkom Petite France – zabytkowej dzielnicy, położonej nad kanałami Strasbourga.

Sophie mieszkała w jednej z ogromnych kamienic prężących swoje kamienne mięśnie wzdłuż Avenue des Vosges. Jej rodzina, bankierzy i prawnicy, od kilku pokoleń zajmowali całe piętro. Kiedy po nią przyszedłem, powitała mnie skrzypiąca podłoga, a stare meble przyglądały mi się z lekką pogardą mebli, które już niejedno w życiu widziały. Sophie otworzyła tylko drzwi, powiedziała „wejdz” i pobiegła gdzieś na kobiece przygotowania. Myliłby się jednak każdy, kto podejrzewałby, że Sophie przebiera się w sukienkę albo zamyka się na makiążową magię. Nic podobnego. Zostałem zatem z Oskarem, jej dziesięcioletnim bratem.

– Proszę to dla ciebie – wręczyłem Oskarowi paczuszkę polskich czekoladek i wafelków. Taki zestaw Prince Polo, Wedla i krówek, który zabrałem z Polski, przewidując podobne do

tej sytuacji. U nas zawsze, gdy szło się w gościnę zabierało się jakieś drobiazgi dla gospodarza lub jego dzieci.

– To dla mnie? – zapytał nieufnie Oskar i bez ruchu patrzył na moją wyciągniętą dłoń.

– Tak, proszę.

– Ale my nie jesteśmy biedni – odezwała się mama Sophie i Oskara, co jeszcze bardziej sparaliżowało chłopaka, a mnie zdziwiło.

– No nie dlatego – wyjąkałem, stojąc z wyciągniętą ręką.

– U nas jak się kogoś odwiedza, to zabiera się drobiazgi dla dzieci – nastąpiła cisza, która wcale mi nie pomagała.

– To polskie słodycze. Dobrze. Proszę – próbowałem dalej być ambasadorem marki „Teraz Polska”, ale jakoś na razie bezskutecznie. Na szczęście ze swojego pokoju wyskoczyła Sophie. Uwolniła czekoladki z mojej dłoni. Położyła je na komodzie i wzięła mnie pod rękę na znak, że przejmuje stery dzisiejszego wieczoru. Nie wiem, czy gospodarze dosłyszeli moje pożegnalne „Bonne soirée”, tym bardziej, że drzwi szybko się za nami zamknęły, a ja zacząłem dopiero ponownie oddychać na klatce schodowej.

– Dokąd mnie zabierzesz? – zapytała Sophie, a ja cieszyłem się, że chociaż w tym względzie pozwoli mi być mężczyzną.

Znaleźć restaurację w Strasbourgu to nie problem, poszukać taką, która zmieści się w naszym budżecie to już sztuka, ale prawdziwe kłopoty zaczynają się naprawdę wtedy, gdy otwieramy menu, a kelner stoi nad tobą ze spojrzeniem: „no co teraz cwaniaczkę?” Pewnie każdy doświadcza tego również w swoim kraju, że jak czyta menu w restauracji, to nie bardzo jest w stanie odszyfrować co to może być. Bez pomocy kelnera, jako tłumacza, się nie obędzie, bo np. „Szaleństwo Sobieskiego”, może być zarówno bigosem, jak i gulaszem z dziczyzny. Podobne kłopoty ma każdy cudzoziemiec, tylko trzeba je podnieść do potęgi nieznaności języka.

Sophie nawet nie rzuciła okiem na menu, bo zamówienie najzwyczajszej sałaty odchudzającej nie wymagało umiejętności

czytania. Ja postanowiłem przyjrzeć się Francuzom od kuchni. Podobno Niemcy jedzą, żeby pracować. Francuzi zaś pracują po to, aby jeść. (Innym narodowościom ledwo wystarcza na jedzenie.) Znalazłem na stronie przystawek escargot, czyli ślimaki. Tylko przed daniem dopisano ułamek $\frac{1}{2}$.

- $\frac{1}{2}$ eskargot – pół ślimaka, to nawet mniej niż sałatka Sophie i już się zastanawiałem, czy nie przetrzucić się na jej sałatkowe obżarstwo. Pół ślimaka to chyba trochę za mało, nawet jak na naród chudzielców. No to może oznacza pół kilograma ślimaków, ale czy taką ilość da się w ogóle zjeść. A może to jest pół porcji, no to dobrze, ale ile to jest cała porcja, żebym wiedział czy połowa mnie zadowoli.

- $\frac{1}{2}$ oznacza sześć sztuk.

- Czyli samo eskargot bez $\frac{1}{2}$ oznaczałoby dwanaście?

- Tak.

- A czemu dwanaście i sześć, a nie odpowiednio np. dziesięć i pięć?

- Nie wiem – odpowiedziała Sophie – tak po prostu jest i już.

- To czemu zwyczajnie nie napisać 6 zamiast pisać $\frac{1}{2}$?

Nie miała matczynej cierpliwości, by odpowiadać na dziecinne pytania. Ja natomiast nie miałem zamiaru przestać być dorosły. Nie chciało mi się również rozpoczynać dyskusji na temat starego systemu liczenia w tuzinach, bo i tak byłyby wyjaśnienia niewystarczające. Szczerze mówiąc nie miało to żadnego znaczenia, kiedy jedząc pyszne ślimaki popijane alzackim rieslingiem patrzyłem na Sophie, i słuchałem, jak opowiada o niedawnych wakacjach w Hiszpanii. Przerwał jej głośny krzyk powitania, gdy z głębi sali doszedł do nas wysoki mężczyzna. Philip, o ile sobie przypominałem słowa Marca, to ex chłopak Sophie, choć pocałunki na powitanie nie były wcale ex pocałunkami. Chyba nie był zbyt lubiany w redakcji, bo nazywano go „Tyczką”. Tyczkowaty Philip po jakimś czasie mnie zauważył i walnął od razu ze swoich dwu metrów.

- Widzę, że nie jesteś Francuzem.